

Masowe deportacje Polaków na Syberię 70 lat temu

To było przed 70 laty w sobotę, 10 lutego 1940 około 3 godziny nad ranem, kiedy sowieccy żołnierze, pod dowództwem Wewnętrznego Aparatu Bezpieczeństwa, dzisiaj znanego jako KGB (wcześniej jako NKWD), otoczyli tysiące domostw we wschodniej Polsce, na którą wcześniej, 17 września 1939 roku, Armia Sowiecka dokonała inwazji. Kolbami karabinów zaczęli walić w drzwi i okna budząc przy tym spokojnie śpiących Polaków. W ten sposób aresztowali, bez jakiegokolwiek wcześniejszego ostrzeżenia, kilka setek tysięcy rodzin, których NKWD i rząd Józefa Stalina zdefiniowały jako „wrogów zagrażających ustrojowi Związku Radzieckiego”. Tymi „wrogami ludu Związku Radzieckiego” były zazwyczaj niemowlęta, dzieci, młodzi ludzie, kobiety i starcy. Ludzie zdolni do walki byli w tym czasie już jeńcami wojennymi przetrzymywanymi w celu wywózki do lasu katyńskiego oraz w obozach jenieckich, które mieściły się w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie i Charkowie, gdzie zamordowano i złożono w masowych grobach 22436 polskich oficerów i intelektualistów. Egzekucje dokonywane były za pomocą strzału w potylicę. Więźniom zamykano z tyłu ręce. Kula w tył głowy spowodowała, że ofiary natychmiast wpadały wprost do przygotowanych grobów.

Po brutalnym przebudzeniu, drżące z przerażenia i zimna całe rodziny w swoich piżamach i koszulach nocnych zostały zmuszane siłą do stania pod ścianą, podczas gdy oficerowie NKWD drobiazgowo przetrząsali ich mieszkania w poszukiwaniu radioodbiorników, lornetek, aparatów fotograficznych, wszelkiej broni i amunicji. Poszukiwali dokumentów, zdjęć i jakichkolwiek śladów powiązania z wojskiem, świadectw szkolnych i narzędzi biurowych. Wszyscy urzędnicy, wliczając urzędników pocztowych, listonoszy, ratowników medycznych i strażaków byli brani pod uwagę jako „wrogowie publiczni Związku Radzieckiego”, a co za tym idzie, władze wydały rozkaz ich „wytepienia”.

Eksterminacja zaczęła się od przewożenia rodzin podczas zimnych lutowych nocy do krytych wagonów przeznaczonych dla bydła. Pociąg nie czekał na nich na stacji kolejowej, tylko na pokrytym głębokim śniegiem polu z dala od ich miejsc zamieszkania. Do każdego krytego, wagonu towarowego wsadzano 60 przerażonych Polaków, którzy dygotali z zimna i strachu. W wagonie znajdowały się dwie olbrzymie półki dzielące każdy wagon towarowy na 4 przedziały, każdy był w stanie pomieścić 15 miejsc siedzących. Wyłom w podłodze wagonu towarowy służył jako wychodek. Dziura ta była niemałym problemem. Podczas gdy pociąg pędził z prędkością 60 mil na godzinę do wnętrza pociągu w którym jechaliśmy przedostawał się silny, lodowaty wiatr. Dziura ta stanowiła duże niebezpieczeństwo dla małych dzieci. Przed transportem mieliśmy 45 minut na ubranie się i spakowanie. Mówiono nam, żebyśmy nie brali zbyt wiele, bo tam gdzie jedziemy wszystkiego jest po dostatkiem. Nie poinformowano nas, gdzie jedziemy, tak więc nie ufaliśmy Rosjanom. Miałem wtedy niecałe 8 lat. Jako bagaż do niesienia dostałem poszewkę. Był w niej prezent dla mojej mamy podarowany pod choinkę przez mojego tatę, który w tym czasie był jeńcem wojennym gdzieś w Smoleńsku. Była to maszyna do szycia firmy Singer. Pamiętam moją złość na matkę, kiedy ostre krawędzie maszyny wbijały się w moje plecy. Byłem na nią obrażony, ponieważ kazała mi nieść coś tak ciężkiego.

W wypchanym ludźmi pociągu musieliśmy znaleźć miejsca dla naszych cennych rzeczy. Bardzo często umieszczaliśmy je między nogami. Podczas gdy leżeliśmy albo siedzieliśmy, zazwyczaj kładliśmy je na podłodze albo na górnej półce. Ci,

którzy pierwsi wchodzili do wagonów zaraz zajmowali właśnie te górne półki. Przy podłodze panował przejmujący chłód i tym ludziom, którzy spali niżej było znacznie zimniej. Podczas drogi przez „gościnną” syberyjską tundrę uświadomiłem sobie, że ta zniechęcająca przeze mnie maszyna do szycia pomogła nam przetrwać przejmujący chłód, głód i choroby przenoszone przeważnie przez wszy, pchły, karaluchy, myszy i szczury. W tych nieszczęsnych warunkach podróż przez ten rozległy syberyjski, zamrożony i tundrowy kraj zajęła nam 6 tygodni. Zostaliśmy wywiezieni do niewolniczych obozów pracy i byliśmy traktowani jako siła robocza. To była podróż bez powrotu - bilet w jedną stronę. W mieście Tampa na Florydzie - o ile dobrze pamiętam - jest paru Polaków ocalonych właśnie z tych niewolniczych obozów pracy. Nie zostało ich wiele. Ci, którzy jeszcze żyją, starzeją się, powoli odchodzą z tego świata. Jednak dla mnie zawsze pozostaną żywi.

Z wielką dumą służyłem w amerykańskiej armii podczas Wojny Koreańskiej. Z wojny powróciłem ranny i Departamentowi Do Spraw Weteranów zawdzięczam 3 stonie naukowe na Uniwersytecie w stanie Wisconsin. Dostałem możliwość objęcia stanowiska profesora na trzech innych uniwersytetach stanowych i prowadzenia projektów badawczych w Amerykańskim Instytucie Badań w Pittsburghu, w stanie Pensylwania. Później zostałem odesłany na emeryturę z należnymi honorami, jak żołnierz, który nigdy nie umiera, tylko powoli zanika. Przypuszczam, że ostatecznie usunę się w cień w „Ogrodzie Chwały” w Bushnell. Przed moim odejściem uznałem, że warto byłoby opowiedzieć moją historię szerszemu audytorium. Jeśli każdy powinien mieć swoje 15 minut sławy to i ja mam do tego prawo.

Jeśli czytelnicy chcą wiedzieć więcej o tych masowych deportacjach Polaków na Syberię, polecam książkę „When God Looked the Other Way”, napisaną przez mojego serdecznego przyjaciela i towarzysza, sybiraka, Wesleya Adamczyka, którego ojciec był zamordowany przez NKWD przy zbiorowej mogile polskich oficerów w Charkowie. Jego książka została wydana przez Chicago University Press i gorąco ją polecam.

Autor: Krzysztof Flizak

Tłumaczył: Piotr Borkowicz